

Pamiętał — stara wiedźma przygotowała nań pułapkę, godząc na jego życie. W dole, do którego wpadł, znalazł jedwabną chusteczkę i kiedy o niej myślał, zaszumiała wokół niego woda, zimna, przejmująca dreszczem, woda, która mu miała przynieść śmierć. Z całą energią podniósł się, chociaż osłabiony, jak mógł najwyżej, uczeplił się wreszcie wystającego z jednej ściany haka, a tymczasem woda podnosiła się z każdą sekundą, dosięgała mu już ramion, głowy, zalewała go całością, tak, że już się przygotowywał na śmierć, która za chwilę musiała by go uwolnić z tej męczarni, gdy w tem nagle uczuł, że woda jakoby odrobinę opadła, tak, że mógł przynajmniej swobodnie oddychać. Ale czy to był dla niego ratunek? Czuł przecie, że go już siły opuszczają, że lada chwila miał opaść w wodę, bo nie zdołał się na tym haku utrzymać. Jeszcze chwila czekania, straszna, potworna grozą oczekiwania śmierci — już miał puścić hak, już zdecydował się skończyć, kiedy naraz usłyszał jakiś szmer — pokrywę dołu na nowo otwarto.

Czyżby znowu przysłała ta szatańska wiedźma ze swoim synem, aby się przekonać, czy jej najzaciętszy wróg już nie żyje? — Ale nie mógł już rozumować — myśli mu się mąciły. Czuł tylko, jak ktoś chwycił go za rękę i wyciągnął z wody — a teraz, zbudziwszy się z omdlenia znalazł się w tym wąskim pokoiku.

Gdzież był i skąd się tu wziął? Kto go tu przyniósł?

Powtarzał sobie ustawicznie to pytanie, ale nie mógł na nie znaleźć odpowiedzi. Zdawało mu się wprawdzie, że przypomina sobie, iż jakaś smukła kobieta z czarnymi włosami i jarzącymi jak węgle oczyma, pochylała się nad nim troskliwie jak matka, ale to mogło przecie być wytworem jego rozgorączkowanej febrą wyobraźni.

Wargi go paliły, w gardle czuł ogień prawdziwy, zobaczywszy więc na stoliku karafkę z wodą, podniósł się, chcąc ugasić pragnienie. Wtem wzrok jego padł na białą kartkę, leżącą między owocami a pieczywem. Chwycił ją i przy słabym świetle odczytał powoli następujące słowa:

„Niech pan nie myśli o tem, kto pana wyratował — faktem jest, żeś pan ocalony. Proszę nie wstawać, aż pan się poczuje zupełnie zdrowym i silnym; ja panu zawsze, kiedy pan śpisz, przyniosę pokarm i napój. W dniu, w którym pan zechcesz opuścić straszny młyn, napisz pan kartkę i donieś mi pan o tem. Ja sama pana w nocy wyprowadzę. Niech pan jednak ma się na baczności, niech pan, broń Boże, nie piśnie nawet, choćby się nie wiem co działo. Gdyby pana znaleziono, byłbyś pan zgubiony, a ja wątpię, czyby mi się udało uratować pana po raz drugi.

*Pańska opiekunka“.*

— Opiekunka w strasznym młynie! — szepotał detektyw, nie dowierzając. — Cóż to za istota?

O ile mu było wiadomo, to w strasznym młynie mieszkała jeno sama stara Wildingowa. Rozglądając się naokół, ale jakoś w tym małym pokoiku nigdzie nie zauważył drzwi. Nie chciał pukać do ścian, bo, stosownie do polecenia, nie chciał wszczynać szmeru, położył się więc na tapczanie, nie ażeby spać, ale żeby czekać na swą tajemniczą opiekunkę.

Zapadł już mrok, a detektyw Stein leżał ciągle z otwartymi oczyma, z stanowczym zamiarem czuwania choćby przez całą noc. Postanowił sobie, że musi zobaczyć swą wybawicielkę i powiedzieć jej, jak jej jest wdzięczny. Kiedy jednak noc coraz głębsza zapadała, opanowała go taka niezmierzona chęć do spania, że nie był w stanie jej się oprzeć. Powieki powoli mu się zamknęły, a po chwili głęboki, miarowy oddech świadczył już, że śpi. Jak długo spał, nie wiedział, ale naraz zbudził go jakiś dziwny szmer, jakby kto drzwi otwierał. Podniósł się odrazu, ale z powodu głuchej nocy nie mógł nikogo zobaczyć.

— Czy tu jest kto? — zapytał cicho.

Nie było odpowiedzi, ale detektyw nie mógł się pozbyć myśli, że jednak ktoś jest przy nim, więc aż wstrzymał oddech i słuchał. Wprawne jego ucho nie zawiodło go. Usłyszał cichy, przytłumiony oddech drugiego jakiegoś człowieka.

— Tu jest ktoś! — zaczął na nowo. — Jeżeli pani jest moją wybawicielką, to błagam panią o jedno choćby słowo!

Znowu głucha cisza. Wtem uczuł, że ktoś koło niego chce przebiec, tuż koło tapczanu, więc wyciągnął ręce przed siebie. Rozległ się przytłu-

miony krzyk — Stein trzymał w ręku wychudłą jakąś kobietę.

— Niech mi pani powie — prosił — kto pani jesteś i jak się to stało, że mnie pani wyratowała?

Widział kontury tej pociągłej twarzy kobiecej, które nieraz we śnie przewijały się przed jego oczyma, widział czarne oczy, które nań teraz patrzyły.

— Niech mnie pan o to nie pyta! — zabrzmiała cicha odpowiedź — nie mogę i nie chcę panu tego powiedzieć. Niech mnie pan puści, a jeśli się pan czujesz zdrowym, to ja tu w nocy przyjdę i sama pana wyprowadzę.

Stein wyteżył wzrok, aby nim przebić ciemności. Nie mógł przewyciężyć ciekawości dowiedzenia się, czy jego opiekunka była młodą i ładną, czy brzydką i starą.

Ale oprócz słabych konturów jej twarzy, nic więcej ujrzyć nie zdołał. Sądząc po głosie, musiała to być jeszcze młoda kobieta.

— To niechże mi pani przynajmniej powie,



...Zobaczyła twarz jakiegoś mężczyzny, z wysiłkiem trzymającego się nad wodą. Ręką nieznajomy trzymał się wystającego ze ściany haka i temu tylko chyba zawdzięczał, że nie utonął dotychczas.

czy i panią tu przemocą wprowadzono i trzymano w niewoli?

— Nie, nie! — odparła zagadkowa nieznajoma — siedzę tutaj zupełnie dobrowolnie i proszę pana usilnie, niech pan mnie o nic nie pyta, niech mnie pan nie bada i niech pan mnie nie śledzi, choćby się nie wiem co stało, bo toby mi tylko zaszkodzić mogło.

Stein potrząsnął głową, ale nie mógł zrozumieć tych tajemniczych zagadek.

— Nie przyrzekam pani niczego, bo wiem, że tak czy tak muszę panią śledzić. Czuje to, że pani jesteście szlachetną istotą i że istnieje jakaś inna przyczyna, która sprawia, iż pani przebywa w tem strasznym miejscu. Dzisiaj już czuję się na siłach, dzisiaj mogę opuścić straszny młyn i błagam panią, niech pani wraz ze mną uchroni.

— Nie trudź się pan — brzmiała smutna odpowiedź — nie wyjdę stąd nigdy, chyba w trumnie, kiedy mnie na cmentarz wyniosą na wieczny spoczynek. Nie pytaj pan, dlaczego, bo tego panu nie mogę powiedzieć. — Tu są pańskie rzeczy; na razie wychodzę na pole i powracam za chwilę, aby pana stąd wyprowadzić.

Za chwilę detektyw Stein został sam. Jak we

śnie ubrał się i właśnie brał do ręki kapelusz kiedy nieznajoma weszła z powrotem. Jeżeli jednak sądził, że, sprowadzając go na dół po schodach, tajemnicza opiekunka przynajmniej światło jakie zapali, bo schody były wąskie, strome i ciemne, to mylił się. Nieznajoma wzięła go za rękę i szepnęła:

— Trzymaj się pan ściany, schody są strome.

Kiedy zeszli na dół, otworzyła jakąś małą furtkę.

— Bądź pan zdrow — rzekła jeszcze, a głos jej drżał ze wzruszenia — jeżeli mi pan chce okazać swą wdzięczność, to niech pan nie podejmuje żadnych kroków przeciw właścicielowi straszego młyna — bo to moja matka.

Klucz zgrzytnął w zamku i zanim detektyw zdobył się na odpowiedź, drzwi już zostały zamknięte, a on stał na ulicy.

— Śnie, czy marzę? — szepnął, chwytając się za głowę — to przecie być nie może! Ta szlachetna dziewczyna, która mnie od śmierci ocaliła, miałaby być córką... to niepodobne! I musiałem przyrzec, że starej wiedźmie nic nie zrobię!

Stał chwilę jak oszołomiony, patrząc na małą furtkę, za którą znikła jego opiekunka. Zdało mu się, że słyszy jakieś kroki, więc stosownie do polecenia swej wybawicielki, aby jak najprędzej odszedł od straszego młyna, pędem prawie puścił się w głąb ulicy. Jakżeż serdecznie dziękował teraz nieznajomej za ocalenie — teraz mógł znowu oddać się z całą energią swemu powołaniu. Byłoby mu okropnie umierać teraz przez chyłność starej wiedźmy, właśnie teraz, kiedy tyle rzeczy czekało na niego.

Na drugi dzień rano zapukał do jego pokoju jego przyjaciel, również tajny agent policyjny, dla którego Stein był wzorem i ideałem. Paliła go ciekawość dowiedzenia się, gdzie Stein tak długo przebywał, ale detektyw milczał, jak zakłęt. Był jeszcze zbyt osłabionym po tylu przejściach, postanowił więc nie opuszczać łóżka i dopiero na drugi dzień zabrać się do roboty. Paulsen — tak się nazywał przyjaciel Steina — siedział przez cały dzień u niego, chociaż obaj nie wiele mówili.

Na polu rozszalała się tymczasem burza. Wicher dał przeraźliwy, aż szyby drżały, a ogień na kominku chwiały się i syczał, jak umierający. Stein leżał na łóżku, marząc o tem, jak dobrze jednak mieć swoje ognisko, ciepłe, zaciszne i przebywać

w niem wtedy, kiedy na polu szaleje wichura i deszcz jak opętaniec świszcz. Przyjaciel jego zatapiał się tymczasem w jednej ze wspaniałych opowieści Vernego. Naraz zerwał się i zwracając się do Steina, rzekł:

— Słuchajno, czy teraz kto nie dzwonił?

— Jeśli to jaki człowiek z interesem, to sprawa musi być ważna. Na taki czas niktby się nie wybierał w drogę, gdyby go nie nagliła ważna potrzeba.

W tej chwili zapukano do drzwi. Stein wyciągnął rękę, aby światło lampy skierować na stołek, na którym miał usiąść nowoprzybyły, poczem zawołał:

— Proszę!

Do pokoju weszła młoda dama w żałobie. Zdjęła czarną woalkę z twarzy i zdumiona spojrzała na Steina, który w tym momencie ją rozpoznał i rzekł:

— Pani wybacz — zanadto mnie zaniepokoił widok pani u mnie. Jeżeli się nie mylę, to mam zaszczyt mówić z hrabiną Pardua?

— Tak jest, panie Stein, przychodzę do pana z prośbą o radę i opiekę.

(Ciąg dalszy nastąpi).